

MOJ UDZIAŁ W WALCE Z FASZY NIEM HITLEROWSKĄ
W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

Czesław Urbański
ul. Pogodna 1 m 150
87-800 WŁOCŁAWEK

MOJ UDZIAŁ W WALCE Z FASYZMEM HITLEROWSKIM
W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

Jest rok 1939. Służę w 63 pp w Toruniu w charakterze sanitariusza. W sierpniu pułk mój przegrupowany jest w Lasy Zbicznowskie koło Jabłonowa. Każdy dzień wypełniony jest zajęciami. Wieczorami zbiera się dowództwo na narady. Stają się bardzo nerwowi. Nasz trój udziela się również żołnierzom. Nikt nie cieszy się mimo pięknych, słonecznych dni.. Każdy staje się bardzo podniecony. Różne myśli napływają do głowy. Kładziemy się spać, ale nie śpiemy. Cóż za poczucie. Ogarnia nas lęk, serca biją przyspieszonym rytmem. Trwa tak aż do końca sierpnia. W ostatni dzień, część z nas, jak zwykle pełni służbę, a pozostali odpoczywają. W spokoju nie doczekaliśmy się następnego dnia. O godz. 4⁵⁰ ze snu budzi nas warkot samolotów. Błyskawicznie zrywamy się, ubieramy mundury. Dowództwo ogłasza alarm. Zaczyna świtać. Wschodzi słońce, a za nim ukazuje się na horyzoncie eskarda bombowców. Na skrzydłach widnieją czarne krzyże. Tak, to Luftwaffe. To ono będzie torowało drogę do zbrodni, gwałcenia praw człowieka. Idą powoli. Zbliżają się do naszego miejsca stacjonowania. Obniżają swój lot, patrolują. Biorą kierunek na Toruń. Silniki maszyn ciężko pracują. Drży ziemia, jęczy powietrze. Widać, że wiozą potężny, śmiertelny ładunek. Zapanował oddech, przywarliśmy do ziemi. Spoglądamy na niebo. Odjechali. Odetchnęliśmy z ulgą. I oto nagle na dalekim widnokręgu ukazuje się druga eskarda samolotów. Nad Jabłonowem unoszą się czarne kłęby dymu, słychać potężne detonacje. Oślepia nas łuna płonących domów. Płoną również nasze magazyny żywnościowe. W tym samym czasie odezwała się hitlerowska artyleria. Raz po raz padają i rozrywają się pociski. Nad nami krążą niemieckie myśliwce. Strzelają z broni maszynowej. Mimo rozpaczliwej obrony musimy opuszczać swe miejsce. Wycofujemy się. Niemcy niszczą nam kuchnię polową ciągniętą przez konie. Są pierwsi rozbici i ranni. Transport rannych odbywa się na wozach konnych z żelaznymi obręczami na kołach. Koła zapadają w dziury, na twarzach rannych widać ból i cierpienie. Strasznie jęczą, niektórzy pragną skrócić sobie życie. Wołają pomocy, żegnają swoje rodziny.

Tymczasem nasi żołnierze odbierają ataki. Ze wszystkich stron nacierają zmotoryzowane oddziały Wehrmachtu. Na niebie w dalszym ciągu krążą niemieckie bombowce i myśliwce. Na nic zda się dalszy opór, męstwo, bohaterstwo. Cóż może zrobić żołnierz z karabinkiem, kiedy staje czoło w czoło, oko w oko z potężnymi czołgami? Wycofujemy się przez Toruń w kierunku Kutna. O odpoczynku nie ma mowy. Teraz całą dobę czuwamy. Nikt nie zmrużył oka. Nie ma czasu na jedzenie, a właściwie, nie ma już co jeść. Nogi uginają się pod ciężarem własnego ciała. Nad nami wciąż ten sam widok. Wciąż krążą samoloty, zrzucają dalsze tony bomb. Palą się wioski, lasy, żołnierskie kolumny zostają rozrywane. Niemcy z powietrza strzelają nawet do pojedynczych żołnierzy. Droga odwrotu wyznaczona jest setkami poległych. Rozproszeni żołnierze gromadzą się powtórnie. Próbuje stawiać opór. Czynią to, lecz na krótki okres. Oto nad ich głowami przelatuje nowa eskadra bombowców. Opróżniają się komory bombowe. Opróżniają się komory bombowe. Bombowce unoszą się do góry, są lżejsze, oddalają się i nikną gdzieś za horyzontem. W pobliżu nas lądują samoloty transportowe. Milkną silniki. Z kabin samolotów wyskakują uzbrojeni po zęby hitlerowscy żołnierze. W pośpiechu zajmują bojowe stanowiska. Terkoczą karabiny maszynowe. Ogień z ziejących luf skierowany jest na nasze oddziały. Nad Kutnem rozrywają się bomby zapalające. Zniszczono tory, pociągi z żywnością i amunicją. Nie mamy znikąd pomocy. Bierzymy kierunek na Łowicz. W miejscowości Piątek zatrzymujemy się. Zajmujemy stanowiska bojowe. Stawiamy opór przed nacierającym wrogiem. Bronimy się zawzięcie. Niestety, i tutaj jesteśmy wyparci. Nie rezygnujemy jednak z walki, mobilizujemy nasze siły i odbijamy stracone pozycje. Dwukrotnie miejscowość ta przechodzi z rąk do rąk. Siły nasze wyczerpują się do ostateczności. Brak amunicji, ludzie padają ze zmęczenia, a z góry, prosto na głowy lecą setki bomb. Puszcza Kampinowska poprzecinana jest lejami po wybuchach bomb. Wyrwy są tak głębokie, że na dnie pokazuje się woda. Rzeki, strumyki i stawy zmieniają swą barwę. Bzura nabiera koloru czerwonego. To krew żołnierza polskiego barwi jej wartkie nurty, to płynące ciała zakłócają jej rytm biegu!

Zbliżał się kres naszego oporu. Głodni, osłabieni i senni w dniu 19.09.1939 r. o godz. 6-tej rano dostajemy się do hitlerowskiej niewoli. Jako sanitariusz robię opatrunki rannym. Pod niemiecką eskortą, na konnych wozach przewożąc rannych do Gostynina. W drodze nie wszyscy wytrzymują ból po odniesionych ranach. Mimo mojej pomocy jeszcze dwóch umiera. Jedziemy polnymi drogami. Mijamy wiejskie zabudowania. Ludzie wychodzą nam na przeciw. Jedni patrzą z ciekawości, inni pragną dowiedzieć się, co słychać na froncie, a może zasięgnąć informacji o swych najbliższych. Mimo ciężkiego położenia, każdy z nich niósł zawiniątko pod pachą.

Z dala czuć było zapach chleba, woń mleka. Pragną nas nakarmić i napoić. Były to tylko obopólne marzenia. Żołnierze niemieccy nie zezwalali na krok zbliżyć się do nas. Karabiny trzymali gotowe do strzału. Szkoda dalszych ofiar. Z gościnnosci i pomocy nie możemy skorzystać. Pozwolono sanitariuszom opuścić wóz, zebrać menażki i udać się do pobliskiego strumyka lub strudni, by zaczerpnąć wody dla rannych. Czas postoju był ograniczony do minimum. Czynność należało wykonać w biegu i to ciągle pod baczny okiem żołnierzy spod znaku swastyki. Wodę porcjujemy, nie poimy do woli. Przecież nie wiadomo, kiedy niewielki zapas będzie można uzupełnić. Samemu tego uczynić nie wolno. Niemcy pozwalają tylko wtedy, gdy teren jest odkryty, brak lasu i gęstych zabudowań. Nie dowierzają nam, chcą mieć nas w zasięgu śmiertelnej ołowianej kulki.

Droga strasznie się wydłuża. W dniu 21.09.1939 r. dojeżdżamy do Gostynina. Stajemy przed dość obszernym budynkiem. Rozglądam się wokół niego. Domyślam się, że to szkoła. Nic z jej uroku nie zostało. Zamiast gwaru, słychać jęki, zamiast uśmiechu, widać powykrzywane z bólu twarze. Szkolne ławki zastąpiła słoma. Na niej kładziemy rannych, powiększając ich stan. Przed nami już przybyli inni. A ile ich jeszcze przybędzie? Trudno przewidzieć. Szybko znieśliśmy rannych i ułożyliśmy w słomianym barłogu. Jest pora obiadowa. Powiew wiatru przenosi zapach potraw. Nareszcie zjem obiad, pierwszy solidny posiłek. Od 10.09.1939 jedynym pożywieniem były przydrożne owoce i marchew wyrwana z chłopskich zagonków.

Obiad zjadłem, apetyt dopisywał. Na poobiedni odpoczynek nie ma czasu. Zbieram się jak wszyscy do pracy. Materiał opatrunkowy dostarczano z pobliskiego cywilnego szpitala. Dniem i nocą pełnymi dyżury. Praca jest męcząca i ciężka, nikt jednak nie sarka. Pomaga przecież tym, którzy tego najbardziej potrzebują. Ich ból jest naszym bólem, ich cierpienie naszym, ich cel walki był wspólnym celem. Serca biły tym samym rytmem. Były, są i pozostaną zawsze tylko polskie!

W szpitalu w Gostyninie przebywałem z rannymi do dnia 10.10.1939r. W dniu tym przychodzi rozkaz ewakuacji. Przekwaterowany jestem wraz z rannymi do szpitala polowego, mieszczącego się w koszarach 28 pułku Strzelców Kaniewskich w Łodzi. Przebywa nas tam około 1200 osób. Pracujemy bez chwili odpoczynku. Ledwie zaświta, jesteśmy już na nogach. Cały dzień, do ostatniej sekundy wypełniony zajęciami. Zapada zmrok. Przy bladych światłach kończymy pracę. Przed nami noc. Część z nas pełni dyżur. Pozostali kładą się spać, ale czuwają. Niejednokrotnie w ciszy wstajemy, aby wzajemnie sobie pomóc. Pracy dla dyżurnych jest ponad siły. Czynimy to z poczucia koleżeńskiego obowiązku, skrycie, mimo ostrych zakazów niemieckiego personelu.

Dzień mija za dniem. Siódmego dnia zjawiają się w naszym szpitalu goście. Na czapkach i rękawach widnieje trupia czaszka. Z szyi zwisają aparaty fotograficzne. Zbierają personel sanitarny i oznajmniają nam: - "Macie dwa dni odpoczynku, przez dwa dni nie będziecie robić opatrunków". Spoglądamy na siebie. Różne myśli cisną się do głowy. Nie możemy wyjść ze zdziwienia. Jaki oni mają cel? Kto przewinie obolałe rany? Niemcy odjechali. Zostaliśmy sami. W salach leżą i jęczą z bólu ranni. Nie wolno nam zmieniać opatrunków. Mija drugi dzień, zapada zmierzch. Zbliża się noc. Nie możemy zasnąć, czuwamy. Kończą się wreszcie koszmarne godziny. wyczekiwania. Przyjeżdżają ci sami Niemcy, zbierają nas. Na ich polecenie ubieramy brudne fartuchy, wcale nie przypominające bieli. Jest to właściwie stara, podarta odzież wyjęta z koszów. Zaczynamy wizytę. Po wizycie idziemy do sali opatrunkowej. Przywozimy chorych. Niemcy swobodnie siadają na krzesłach, patrzą na naszą pracę. Gołymi rękami zrywamy opatrunki. Nie wolno używać narzędzi chirurgicznych. Zropiałe i śmierdzące gaziki wyrzucamy wprost na podłogę. Zbiera się tego co niemiara.

W ranach wyraźnie wiadać wijące się robaki! To one toczą za żywa ludzkie ciała! Niemców widok ten nie wzrusza, szyderczo się uśmiechają. Trącają się łokciami, wskazują palcami. Dla upamiętnienia robią zdjęcia. Po wykonaniu zdjęć, dokładnym sprzątnięciu sali opatrunkowej, sali chorych i ubikacji znów aparaty poszły w ruch. Tym razem otrzymujemy czystą odzież. Zwozimy rannych. Zaczynamy opatrunki. W rękach trzymamy pensety. Dla upamiętnienia robią dalsze zdjęcia. /Ordynatorem oddziału był porucznik Wacław Markert, docent z Warszawy/. Pragną pokazać światu, w jakim stanie zastali polskie szpitale, a jak wyglądają w trakcie ich rządów. Obłudę i chamstwo wpajają w młodych ludzi, licząc na bezgraniczne pozyskanie ich dla swych celów i idei. Częściowo to im się udaje. Niektórzy wierzą w humanitarny stosunek Niemców do jeńców. Większość jednak dobitnie wie, że to tylko chwyt, że na tym polega gebelsowska polityka propagandy.

Nieproszeni goście odjechali. Nas^tąpił powrót do normalnego trybu życia. Cały dzień upłynął przy robieniu opatrunków. Każda trzecia noc to dyżur. Po zdaniu dyżuru lekka dżemka, bo już o godzinie 14⁰⁰ trzeba objąć swe stanowisko pracy.

Pracy ciągle przybywało. Ranni tracili siły. Pożywienie, które otrzymywali, nie starczało na ich regenerację. Mleko, witaminy niezbędne dla organizmu były tylko w marzeniach. Nikt nie znał ich smaku. Rany nie goiły się. Z każdym dniem śmiertelność wzrastała. Musimy na to bezprawie patrzeć. Ponoszą nas nerwy, nie możemy tego przeboleć. Wreszcie lekarze nasi zdobywają się na odwagę. Zwracają się do władz niemieckich o większy przydział leków, zmianę jadłospisu, o większą kaloryczność potraw. Postulaty jednak odrzucone. Niemcy na to pozwolić nie mogą. Używają podchwytnego fortelu, a mianowicie proponują i zezwalają odwiedzać chorych mieszkańcom Łodzi. Wierzą, że sposób ten nie chwyci. Rzeczywistość okazała się inna. W swych zamiarach Niemcy przechytrzyli. Wiadomość o zezwoleniu wstępu do szpitala rozeszła się lotem błyskawicy po całej Łodzi. Dwa razy w tygodniu setki Łodzian odwiedzają chorych. Nikt nie przyszedł z pustymi rękoma. Każdy w miarę możliwości przynosił coś do jedzenia, a przede wszystkim przynosił uśmiech i serce.

To pozwalało przetrwać, przezwyciężyć ból i cierpienia. Związywały się trwale przyjaźnie. Panowała wprost rodzinna atmosfera. Ta tego obrotu sprawy Niemcy nie oczekiwali. Nam również było łatwiej.

Czas upływał. Zbliżyła się wiosna 1940 roku. Następuje likwidacja szpitala. Łżej rannych przewieziono do Ostrzeszowa w woj. poznańskim, a ciężiej rannych do szpitala mieszczącego się w budynku Szkoły Włókienniczej w Parku Poniatowskiego w Łodzi. Jestem przydzielony do opieki nad ciężko chorymi. Pozostaję w Łodzi. Stosunki z mieszkańcami dalej układają się pomyślnie. Nawiązany został kontakt z łódzkim oddziałem PCK. Członkowie tej organizacji systematycznie odwiedzali chorych, niosąc im pomoc duchową. Przynoszą również żywność, materiały opatrunkowe, pomagają w pracy. Pomoc trwa całe lato. Jesienią 1940 roku kierownictwo szpitala otrzymuje zarządzenie o jego likwidacji. Następują oględziny i segregacje. Jeńców z zagojonymi ranami kierują do Ostrzeszowa, a potem do obozów pracy. Niemcy potrzebują taniej siły roboczej. Ciężko rannych, potrzebujących opieki lekarskiej wraz z całym personelem sanitarnym, przewieziono do Ostrzeszowa. Szpital mieścił się w gmachu dawnego Seminarium Duchownego. Ja zostałem skierowany do obozu, który mieścił się w budynku byłego gimnazjum. Budynek ten nie przypominał wyglądem szkoły. Wewnątrz ściany były odrapane, w posadzce dziury, a w nich śmieci i brud. Takie warunki sprzyjały gnieźdzeniu się robactwa. Były wyborem środowiskiem. Pluskwy i wszy chodziły po ludzkich ciałach. Po przybyciu, przez 3 dni nie zmrużyłem oka. Czwartego dnia zasnąłem. Budzę się rano i nie mogę wierzyć własnym oczom. Spoglądam na ciało, nie ma skrawka bez obrzęków. Swędzi strasznie. Chcę poruszyć głowę w lewo i prawo. Czuję straszny ból. Oto skutek tylko paru chwil snu. A cóż mogą powiedzieć ci, którzy nie mogą poruszać się o własnych siłach, nie mogą sobie pomóc? Życie staje się powolnym konaniem. Dla nich lepiej byłoby umrzeć w boju, niż cierpieć. Znoszą jednak cierpliwie. Zwracamy uwagę Niemcom, opowiadamy o tej sytuacji. Pragniemy przeprowadzić dezynfekcję, nie otrzymujemy jednak zgody. Zgadzają się natomiast na pójsie do łaźni. Korzystamy z niej dwa razy w miesiącu. Obok łaźni zlokalizowano komorę dezynfekcyjną.

Zaprowadzeni do kąpielni zdejmujemy mundury, wieszamy w komorze. Myjemy się i oczekujemy na nasze mundury. Wchodzimy do komory dezynfekcyjnej. Obok nas idą Niemcy w maskach przeciwigazowych. Zbieramy odzież nasiąkniętą gazem i wychodzimy z komory. Ubieramy się, a jednocześnie dusimy. Żaden ze zdrowych, nie mówiąc już o chorych, lekko tego nie przechodził. Każdy to odczuł. Przez okrągły tydzień występowały wymioty i bóle głowy. Na nic zdały się nowe protesty i petycje w sprawie poprawy warunków. Niemcy według ich mentalności robili to w imię higienizacji, w imię niesienia pomocy cierpiącym.

W obozie gimnazjum przebywałem przez okres ok. 2 miesięcy. Po ich upływie przeniesiono mnie na izbę chorych, mieszczącą się w pomieszczeniach fabryki mebli.

W Ostrzeszowie przebywam do 27.10.1941 r. Obóz traktowano jako przejściowy - stąd kierowano chorych jeńców do domów.

Żegnam Ostrzeszów. Wraz z czterema sanitariuszami, trzema lekarzami i aptekarzem wyjeżdżam do Wolsztyna w woj. poznańskim. Naszym zadaniem było zorganizowanie szpitala dla jeńców radzieckich. Przyjeżdżamy na miejsce naszego pobytu. Wprowadzono nas do pomieszczeń, gdzie przed 1939 r. mieściła się restauracja. Stały już łóżka, leżały sienniki. Przed naszym przybyciem przebywali tutaj jeńcy angielscy i francuzcy. Oglądamy obejście. Wokół budynku kolczaste druty. Rozstawieni są strażnicy. Pilnują bacznie swojego odcinka. Obserwację prowadzą również strażnicy Wehrmachtu z czterech wieżyczek umiejscowionych na krawcach obozu. Są wyposażeni w karabiny maszynowe. Warty wystawiane są we dnie i w nocy.

Pierwszy dzień spędziliśmy na zapoznaniu się z obiektami. Rano w drugim dniu pobytu otrzymujemy przydział pracy.

Zorganizowano trzy oddziały:

- oddział chirurgiczny - odpowiedzialny lekarz Leśniewicz Aleksander z Łodzi
- oddział wewnętrzny - odpowiedzialny lekarz Balewski Władysław z Torunia
- oddział zakaźny - odpowiedzialny lekarz Gontarski Bogumił z Łodzi

Jeden z sanitariuszy został przydzielony do lekarza Leśniewicza, drugi do lekarza Balewskiego. Ja zostałem przydzielony do lekarza Gontarskiego.

Przydział pracy i zadań otrzymaliśmy. Każdy oddział we własnym zakresie przygotowywał się na przyjęcie transportu jeńców. Wspólnie z lekarzem Gontarskim skompletowaliśmy narzędzia i leki. Z magazynu pobrałem czystą bieliznę, rozstawiłem łóżka. Wspólnymi siłami uporządkowaliśmy obejście przed szpitalem. Wieczorami zbieramy się, rozmawiamy, dyskutujemy. W końcu listopada kierownictwo szpitala powiadamia nas o nadejściu pierwszych jeńców. Stacja kolejowa jest oddalona od szpitala około 1 km. W szpitalu panuje gorączkowa i nerwowa atmosfera. Z niecierpliwością oczekujemy przybyszów. Czas nieskończenie się dłuży. Wskazówki zegara odmierzają czas rytmicznie, ale jakże powoli. W dniu 27.XI.1941 r. około godziny 15-tej wychodzimy przed salę operacyjną. W oddali widać grupki ludzi. Zbliżają się ku nam, wchodzą na szpitalny dziedziniec. Jeden drugiego podtrzymuje. Chwieją się na nogach. Przyglądamy im się bacznie. Nie wierzymy własnym oczom. Jak ci ludzie mogą jeszcze żyć, jak przebyli trasę 1 km? Przecież to tylko szkielety i cienie! Kości policzkowe na wierzchu niczym sterczące sęki na suchym drzewie. Oczy smętne, głęboko zapadnięte w oczodoły. Patrzą na nas z obłędem. Wytrzeszczone na wierzchu zęby. Po policzkach nie ma żadnego śladu. Skóry tylko sterczą na pokrycie kości. Są brudni, obdarei. Wody i mydła nie zaznali już dawno. Są strasznie zarośnięci. Ich wygląd nie przypomina ludzi. Zachowanie porównać można do wystraszonych zwierząt. Powoli, jakby leniwie oglądają się na boki. Są zatrwożeni, ogromnie przerażeni. Przechodzą obok ścian oddziału wewnętrznego. Wzdłuż nich ustawione są różnego rodzaju skrzynie. Napełniono je kasztanami. To pozostałość po jeńcach francuskich. Mają stanowić surowiec na klej. Spos- trzegają je. Rzucają się na nie jak wilki. W miarę własnych sił każdy pragnie zdobyć chociaż parę sztuk. Niemcy chwytają za broń. Kolby karabinów odbijają się od ludzkich szkieletów. Słyszą jęki, a właściwie wycia konających ludzi. Gina głodni z wycieńczenia. Los dalszy jest dla nich okrutny. Lepiej było- by się nie rodzić. Cóż w życiu zaznali? Co z nich zrobili Niemcy?

Na początek do obozu wkroczyło około 100 osób. Wszyscy się jednak nie odliczyli. Ktoż ich tam wreszcie liczył? Idąc, nie spostrzegali nawet, kiedy kolega osłabł. Musiał zostać na drodze. Resztę dopełnił żołnierz niemiecki. Pierwsza grupa jest na miejscu, przybyło za nią dalszych 300 jeńców. Ci również przyszli pieszo, na własnych nogach, by stanąć za kolczastymi drutami. Dalszy transport odbywał się samochodami. Byli to ci, którzy o własnych siłach nie mogli iść. Wrzucono ich na platformę samochodu. W ten sam sposób następował rozładunek. Niemcy traktowali jeńców radzieckich jak martwe przedmioty. Ludzkie ciała rzucaли wprost na zmarzniętą ziemię. Padająca mżawka powodowała przymarzanie odzieży do podłoża. Ziemia stawake się magnesem. Nie jedna istota pozostała w takim stanie na placu. Silniejsi z martwych ciał ściągali podarte kałamany. Chcą jakoś przeżyć. Czynną to również jeszcze żyjącym. Oni nie mają sił bronić się. Zostają tylko w koszulach, kalesonach, spodniach. Widok jest straszny, Niemców jednak nie wzrusza. Śmieją się, opowiadają dowcipy. Popychają, zganiają ludzi w grupki, przypomina to polowanie na dzikie zwierzęta. W tym dniu jeńcy nie otrzymali pić ani jeść. Czekamy dnia następnego. Wczesnym rankiem na apelu podano rozkład dnia. Głównym zadaniem jest ogólne mycie i dezynfekcja. Grupami po 50 osób prowadzono jeńców do kąni. Odzież oddawano do komory dezynfekcyjnej. Po wymyciu się, każdy jeńiec nacierał się "Cupreksem", środkiem przeciw wszawicy, następnie był szczepiony przez nas szczepionką przeciw durowi brzuszemu. Następuje segregacja chorych. Słabych, przewracających się pozostawiono w szpitalu. Chodzący o własnych siłach kierowani byli do obozu. Mieścik się opodal szpitala, poza drutami. Przegląd i podział nastąpił. Niemcy pozwalają się ubierać. Jeńcy rzucają się na swej odzieży. Nikt w niczym nie wybiera. Silniejsi zabierali co mogli. W kadali na siebie po dwa, trzy mundury. Dla pozostałych musi brakować. Stoją lub leżą bezradni. Wodzą obłąkanym wzorkiem wokół siebie. Błagalnym spojrzeniem proszą o litość. Nie mają się wyszeptać: "Kolego, daj chociaż koszulę!". Niemców to bawi, są zachwyceni. Rozkazują ubierać nagich. Nikt nie kwapi się oddawać odzieży.

Perswazje nie skutkowały. Trzech Niemców oddala się z placu, idą w kierunku budynku gospodarczego. Po chwili wracają. W rękach trzymają trzonki od wideł, graczek, szpadli. Rozpoczyna się taniec mordy. Raz po raz słychać głuchoe odgłosy uderzeń o ludzkie szkielety. Biją zawzięcie, bez opanowania, niczym bezpańskie zwierzęta. Są tą pracą zmęczeni, ale nie zachwyceni jej skutkiem. Wybierają pośród jeńców najbardziej silnych, przeważnie własowców. Tworzą oddzielną grupę. Na rękawy zakładają opaski z napisem "Polizei". Teraz oni muszą przemawiać do swoich kolegów. Czynią to samo. Godnie zastępują niemieckich oprawców. Siłą zdzierają odzież, oddają nagim. Popychają i gnają jeszcze żyjących do sal. Na ich miejsce przybywa następna grupa, również fizycznie i psychicznie wyczerpana. Przecież wiele oni już przeszli, wiele przeżyli, napatrzili się na konających kolegów. Przybyli tutaj z Prus Wschodnich. Tam pozostawili kilka tysięcy swoich kolegów. W szumiącym lesie można odnaleźć ich zbiorowe mogiły. Traktowane ich gorzej jak zwierzęta. Ciągłe pod ostrzałem, bez pokarmu. Jedynym pożywieniem były orzeszki dębowe, korzonki roślin. Stamtąd przepransportowano ich na dalsze węki. Tutaj przechodzą pierwszy przegląd, dla niektórych niestety już ostatni.

Wspólnie z lekarzem Gontarskim udajemy się na plac. Leżą trupy. Około 40 osób daje jeszcze znaki życia. Pozostałe części odzieży przymarznęte są do ziemi. Patrzymy, nie dowierzamy własnym oczom. Tym ludziom trzeba jak najszybciej pomóc. Lekarz Gontarski stłumionym głosem szepcze: "Cesiu, przynieś nosze". Nic nie odpowiedziałem, ale nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Łzy cisną się do oczu, ale nie wolno nam płakać i ubolewać. Niemcy nie lubią wzruszeń. Działać trzeba w ukryciu. Nie ma chwil na zastanowienie. Błyskawicznie odwracam się, biegnę i wracam z noszami. Kładziemy po dwóch. Mieszczą się. Układamy ich na pryczach /łózkach/. Wytrzymują ciężar /waga około 50 kg/. W ciągu 2 godzin pracujemy bez chwili odpoczynku. Koniec pracy. Cały oddział zakaźny zapełniony. Trzeciego dnia jeńcy otrzymują pierwszy posiłek. Chelb był specjalnie pieczony dla jeńców radzieckich. W skład jego wchodziła brukiew, marchew oraz trociny drzewne.

Racje żywnościowe niewielkie, 125 gramów musi starczyć na całą dobę. Do picia podawano czarną kawę, a nieraz wywar z gałęzi jałowca lub świerku. Na obiad podawano zupę ze zgniłej kapusty lub brukwi. Jedząc to, a właściwie pijąc zbierało na wymioty, trzeszczało od piasku w zębach. Zgniłe produkty nie były płukane, szkoda cośkolwiek odrzucać. Niemcy muszą być gospodarzni, taka jest ich mentalność, tak w nich wpajano. Pół litra - oto żelazna dawka dla dorosłego człowieka. Nie więcej - to musi wystarczyć. Niestety - tyfus plamisty, brzuszny, krwawe biegunki są zjawiskiem codziennym. Brak jest leków. Mimo najszczerzej chęci jesteśmy bezradni. Choroby niosą straszne spustoszenie. Stan chorych maleje. Co rano kilku nie żyje. Same kóżka niewiele pomagają. Z nich trzeba zdjąć trupie szkielety. Niemcy organizują dla nas pomoc. Wybierają silniejszych jeńców. Tworzą nową grupę: "Kommando truppen". Skoro świt budzą ich. Wstają, przeglądają sale. Pod bacznym okiem żołnierzy Wehrmachtu wynoszą z sal ludzkie ciała. Przed budynkiem stoi wóz. Nie mogą swobodnie ułożyć ciał na deskach. Próbuje to czynić kilkakrotnie. Około 25 kilogramów jest zbyt dużym ciężarem dla czterech ludzi. Rozbujany szkielet ludzki szybuje nad deskami i jak kamień spada na spodnice. Stos trupów rośnie, sale oczyszczone z niebieszczaków. Wóz załadowany szkieletami pchają w cztery ściany trupiarni, a wieczorem nakrywają plandeką i z trudem ruszają z miejsca. Ciągają wóz ku miejscu zbiorowej mogiły. Obok nich idą niemieccy żołnierze. Żaden z nich nie zbliża się dowozu. Na rękach mają założone rękawiczki, mundury, mankiety spodni związane są bandażami. To zabezpieczenie przed wszami roznoszącymi tyfus plamisty. W stosunku do ludzi Wschodu byli najbardziej okrutni. Panicznie ich się bali. Wmówiono w nich, że ludzie radzieccy są zdolni do wszystkiego. Potrafią rzucać się na ludzi niby pytony i dusić ich. Wyrwanie serc, zagryzanie, wypuszczanie krwi jest dla nich chlebem powszednim. Wrogo nastawieni, nie wypuszczają broni z rąk. Karabiny zawsze przygotowane do strzału. W celu większej orientacji co do stanu liczebnego szpitala, kontaktu z obozem zainstalowano głośniki. Przez mikrofon ogłaszano komunikaty. Wygłaszano je w języku rosyjskim.

Trzeciego dnia pobytu ogłoszono ogólną zbiórkę. Wszyscy chodzący zebrali się na placu. Stanęli i czekają. Przed frontem staje kapral /nazwiska nie pamiętam/. Popatrzył na jeńców i rozkazał wystąpić lekarzom. Na jego rozkaz trzech wystąpiło z szeregów. Zbliżyli się do kaprala i z nim odeszli z placu. Skierowali swe kroki przed oddział zakaźny. Patrząc na tę scenę. Nagle dociera do mnie głos niemieckiego kaprala wymieniający moje nazwisko. Wybiegłem na dwór, pytam o co chodzi, czego sobie życzy. Słyszę odpowiedź: "Zdjąć fartuch, założyć mundur, płaszcz, czapkę". Wchodząc do korzytarza zastanawiam się, po co to czyni, jaką szykuje pułapkę? Szybko ubieram się i wychodzę przed oddział. Czekają na mnie. W piątkę idziemy w stronę magazynu. Kapral z hukiem otwiera drzwi. Na posadzce leżą bezładnie porozrzucane wiadra, trzonki od gabli, szpadli, wideł, graczek. Spoglądamy na siebie i wokół siebie. Kapral ruchem ręki wskazał radzieckim lekarzom, aby wzięli wiaderka po marmoladzie, mnie natomiast podał trzonek od s padła. Wychodzimy z magazynu, idziemy w stronę ubikacji. W ubikacji stoją beczki z wapnem chlorowany. Wskazał palcem, każe odkryć. Lekarze wykonują polecenie. Gołymi rękami napełniają wiaderka. Wapno wżera się w rany na rękach. Syczą z bólu niczym jadowite węże, otrząsają przyklepione grudki. Kapral ponagla, każe spieszyć się. Staję obok i przyglądam się tej operacji. Kapral odwraca się i szybkim krokiem podąża na teren szpitala. Idziemy za nim jak ómy za światłem. Wiaderka z wapnem są zbyt ciężkie dla ludzi ze Wschodu. Każdy krok sprawia ogromny wysiłek. Słychać sapanie. Na twarzach pojawiają się grymasy bólu. Niemiec nagle staje, Dołączamy do niego. Obraca się dookoła własnej osi, zakreślając ręką obszar dalszego działania. Wszystkie uliczki mają być chlorowane. Improwizując prace siejącego rolnika gołymi rękami mają rozrzucić śmierdzący i gryzący proszek. Mam ich pilnować, a w razie niebezpieczeństwa, bronić się. Praca rozpoczęta. Jeńcy rozrzucają wapno. Kapral przypatruje się i każe mi dalej pilnować. Odchodzi w stronę swego biura. Patrząc za nim, zniknął mi z pola widzenia. Ukradkiem przypatrują się również lekarze. Podchodzą do mnie. Przypatrują się uważnie. Drżą im wargi, słyszę szept: "Czy wy naprawdę Polak?" - Tak, jestem jeńsem polskim! Lekko uśmiechają się

Oglądają się dookoła, czy ktoś się patrzy. Dochodzą pojedynczo, wymieniają swoje nazwiska. Zapamiętałem je doskonale. Byli to lekarze: 1/ generał chirurg Cwietkow, 2/ major okulista Donin, 3/ lekarz porucznik internista The Ananians. Stają się bardziej śmiali. Krótko opowiadają, że od dłuższego czasu nie widzieli kawałka chleba, pytają, czy nie posiadam jakiegoś zapasu. Skinąłem głową. Zrozumieli. Oglądają się, czy ktoś nie patrzy. Oglądam się również. Decyduję się na przyniesienie. Szybkim krokiem oddalam się od nich, wpadam do swego baraku. Zabieram swoją porcję i ukrywam w kieszeniach munduru. Wracam na swoje miejsce. Łamię na trzy części i dyskretnie podaję swoim podopiecznym. Na widok chleba drżą im ręce, zapominają otrzepać je z wapna. Stoją i chciwie łykają kęsy uprzednio łamane w palcach. Kończą pracę i rozchodzimy się, żegnając serdecznym uściskiem dłoni. Może więcej się nie zobaczymy.

Dzień przeszedł, następną kartkę można dopisać do historii. Nazajutrz, jak zwykle stajemy do pracy. Wtem słyszymy zbliżające się męskie kroki. Wchodzą, poznają ich twarze. To wczorajsi męczennicy. Przydzielono ich do nas jako pomoc. Lekarze nasi przyjęli przyjaciół bardzo serdecznie. Przez okres jednego miesiąca wyręczają ich w pracy. Pozwalają odpocząć i nabrać sił. Nawiązują się serdeczne, przyjacielskie więzy.

Na oddziałach tymczasem kończą swój żywot dalsi jeńcy. Codziennie rano "Kommando truppen" ma pełne ręce roboty. W ciąguilkunastu dni we wspólnej mogile spoczęło około 1000 jeńców. Z głodu i wyczerpania pożegnali się z tym światem. Nie mieli do kogo się żalić, odwoływać. Pozbawieni byli wszelkich praw. Odwoływanie się do uczuć ludzkich nie skutkowało. Nad nimi Niemcy nie mieli żadnej litości. Za wszelką cenę pragnęli ich zlikwidować.

W 1942 r. personel sanitarny powiększył się liczebnie. Dołączono do nas z Ostrzeszowa dalszych polskich lekarzy i sanitariuszy. Przybyło 6 sanitariuszy oraz lekarze: kpt chirurg Dzemowski Zygmunt z Bydgoszczy, ppłk internista Kumolewski Jan z Torunia, aptekarz Chylewski z Grudziądza, por. rentgenolog Jaroszewski.

Po przybyciu każdy z nich otrzymał przydział zadań. Praca stała się jak gdyby lżejsza. Stosunki międzynnami nadal układały się pomyślnie. Chorym zmieniamy opatrunki, a lekarze przeprowadzają operacje. Rosjanie zapędzani są do pracy. Niwelują teren, zwiększają jego powierzchnię. Na terenie szpitala zwożą drewniane elementy baraków. W krótkim czasie obok zasadniczego budynku stanęło 18 baraków. Jeńcy pracują bez rękawiczek, ciepłego odzienia przy 25^o mrozie. Odmrażają nogi, ręce. Codziennie przybywa nowa porcja chorych z dodatkowymi dolegliwościami. W jakości żywienia nie ma żadnej poprawy. Panuje twarda, żelazna zasada - chleb z trocin, marchew, brukiew, to podstawowe produkty.

Przez okres 2 tygodni otrzymujemy ten sam chleb, co jeńcy radzieccy. Po tygodniu odczuwam silne bóle brzucha. Zgłaszam się do chirurga Leśniewicza. Bada, stawia diagnozę: Ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Trzeba natychmiast operować. W ciągu pół godziny jestem gotów do zabiegu. Kładą mnie na stół operacyjny. W ruch idzie skalpel. Usuwają wyrostek, a wraz z nim 5 trocin drzewnych. Byłem pierwszą z Polaków ofiarą spożywanego chleba. Po mnie zachorowali inni koledzy. Lekarze polscy zwracają się do lekarza niemieckiego, opisują mu tę anormalną sytuację. Niemiecki lekarz zastanawia się, kiwa głową, decyduje się na przekazanie tych informacji oficerowi politycznemu kpt Cymermanowi. Riposta jest błyskawiczna. Zjawia się kpt Cymerman. Wokół niego gromadzą się lekarze. Mówi krótko, stara się przekonać, że kierownictwo szpitala nic o tym nie wiedziało. Winę za ten stan rzeczy ponosi magazynier, który rozprawdzał i wydawał chleb. Zdobył się na odwagę, przeprosił! Na zakończenie przyrzekł poprawę. Słowa dotrzymał. Na drugi dzień po jego wizycie otrzymaliśmy taki sam chleb, jak żołnierze niemieccy. Herbatę jednak gotowano nam z gałązek świerku i jałowca.

Leżąc chory, obserwowałem życie. Koledzy opowiadali o zmianach. Na bieżąco udzielali informacji. Wylizałem się z choroby. Rana się zabiłiżniła. Postawiłem pierwsze kroki, słaby, ale szczęśliwy. Przeżyłem cudem tę tragedię. Po dwutygodniowym odpoczynku znów wracam na oddział zakaźny-gruźliczy i nadal pracuję z lekarzem Gontarskim. Nadchodzi rok 1943. Coraz częściej w szpitalu

zjawiają się oficerowie Wehrmachtu. Robią szkice, plany. Podejmują decyzję. Szpital ma się stać szpitalem międzynarodowym, dla jeńców wojennych wszystkich narodowości. Następuje podział na dwa sektory. W sektorze zachodnim przebywają jeńcy angielscy, francuscy, amerykańscy, norwescy, holenderscy, a po kapitulacji Włoch, jeńcy dalekiej Italii. Sektor wschodni przeznaczony został dla jeńców radzieckich. Cały ten sektor nie był objęty ustawami genewskimi. Jeńcy traktowani byli inaczej niż w sektorze zachodnim. Podlegaj odnoszono się do ludzi niż do zwierząt gospodarskich. Pracując na oddziale gruźliczym i zakaźnym przy jeńcach radzieckich, sam nabyłem od nich gruźlicy i żółtaczki zakaźnej. Leczył mnie mój szef por. lek. Gontarski i ppłk Kumelowski Jan. Po dłuższym leczeniu zostałem skierowany do pracy na oddział chirurgiczny do lekarza Leśnicwicza, przy jeńcach radzieckich. W dalszym ciągu w żywieniu jeńców radzieckich nie ma żadnej poprawy. Nędzni, wygłodniaли, jedli co się tylko dało. Jedli koniczynę czerwoną, przeznaczoną na paszę dla zwierząt. Popijali to wodą. Musiało to doprowadzić do tragedii. Przyprawiają nam ich do szpitala. Wygląd w niczym nie przypomina człowieka. Są wzdęci, wyją z bólu. Brzuchy przeszkadzają w jakichkolwiek ruchach. Zwinięte w kłęby badyle zapychają jelita. Nie odchodzą gazy. Nie ma nad czym się zastanawiać. Wiemy, co jest tego przyczyną. Zakładamy gumowe rękawiczki, smarujemy wazeliną. Palcami z kiszki stolcowej wydobywamy spieczoną koniczynę. Słychać głośny świst, odchodzą gazy. Brzuch powoli nabiera normalnych kształtów. Chory czuje ułgę. Jest uratowany. Takich przypadków było kilka.

Do sektora zachodniego często przyjeżdżała komisja z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, która również zainteresowała się Polakami, a było nas wszystkich trzydziestu dwóch, to znaczy: pięciu lekarzy, dwóch aptekarzy i dwudziestu pięciu sanitariuszy. Otrzymujemy paczki z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Jest lżej przetrwać. Dzielimy się artykułami z jeńcami radzieckimi, którzy w dalszym ciągu są tego pozbawieni. Nie wolno przechodzić im do części zachodniej. Mimo zakazów, ukradkiem przekradają się do ubikacji, różnych zakamarków, zbierają niedopałki papierosów i resztki wyrzuconego chleba.

Chyłkiem wracają. Gorzej jest z tym, którego złapią. Na nic zdała się zdobycz, muszą oddać.

Letnią porą prowadzeni do łaźni otrzymują 25 kijów na pośladki. Scenie tej przyglądają się przestraszeni pozostali jeńcy.

To dla nich zgotowano tę imprezę - ku przestrodze. Gorzej było jeszcze zimą. Rękawy munduru zawiązywane, nogawki spodni ścis-
kane sznurkiem. Odkręcają w łaźni kran. Gumowym węzem płynie
strumień zimnej wody. Kierują ją za kołnierz jeńca. Wokół niego
tworzy się kałuża. Cały jest przemoknięty. Dla rozgrzewki biją
go kijami. Ledwie trzyma się na nogach, drży z zimna. Impreza
skończona. Idzie, a właściwie czołga się do swego baraku reszt-
kami sił.

Zimową porą jeńcy otrzymali opał na ogrzanie swych pomieszczeń.
Wiaderko węgla brunatnego i parę kawałków drewna starczyć mu-
siało na cały dzień. Jeńcy na zmianę palili, a dym unosił się
w całym pomieszczeniu, gryząc w oczy. O ogrzaniu się nie było
mowy.

W 1943 r. nawiązaliśmy ścisły kontakt z jeńcami angielskimi.
Montują nam prowizoryczny aparat radiowy. Słuchawki instalują
ze starych słuchawek telefonicznych. Dar ten przekazują
dr Zygmuntowi Dziembowskiemu z Bydgoszczy. Włada on biegle
siedmioma językami, a więc aparat dostaje się w godne ręce.
Możemy słuchać głosów z eteru. Dr Dziembowski tłumaczy i prze-
kazuje nam wiadomości. Z tą myślą codziennie wieczorem
o godz. 20⁰⁰ zbieramy się w jednym z pomieszczeń. Zawieszamy
antenę, uziemiamy. Dr Dziembowski rozpoczyna pracę, zabawia
się w "drucika". Chyłkiem wymykamy się z sali. Krążymy po
korytarzach, wszelkich zakamarkach, bacznie obserwujemy. Nikt
nas nie widzi, żaden niemiecki żołnierz nas nie obserwuje.
Dr Dziembowski może spokojnie wysłuchać komunikatów. Kończymy
"stójkę", wracamy. Doktor zdejmuje słuchawki, pomagamy roz-
montować antenę. Wkładamy cały aparat do gumowego woreczka.
Zapakowany w woreczek jeden z nas niesie do ubikacji. Codzien-
nie lokujemy go pod deskę kloaczną. Tutaj Niemcy nie będą za-
glądać. Deska kloaczna jest miejscem bardzo bezpiecznym. Węd-
rówka aparatu z ubikacji do sali i odwrotnie trwała aż do
wyzwolenia, tj. 25.01.1945 r.

Po skończonej operacji swobodnie siadaliśmy, dr Dziembowski przekazywał nam wiadomości. Mieliśmy kontakt ze światem. To nam pozwalało przetrwać, podtrzymywało na duchu.

Tymczasem w obozie wschodnim zaczyna panować ruch. Często podjeżdżają auta. Strażnicy Niemieccy wpuszczają na teren obozu bez legitymowania. Wychodzą z samochodów, swobodnie poruszają się po dziedzińcach. Wchodzą do sal, rozmawiają z jeńcami. Słychać głośne rozmowy, a nawet krzyki: "Jesteście zdrajcami narodu radzieckiego!". Większość z nich nie daje się przekonać, woli umrzeć, niż wstąpić w szeregi ROA /Ruska Oswoboditielskaja Armia/. Były jednostki, które przeszły na ich stronę. Rozmowy skończone, goście odjechali. Następuje powrót do życia codziennego. W machinie organizacyjnej jednak coś się zmieniło. Niemcy dzielą jeńców na dwie grupy. Na właśców patrzą bardziej łaskawym okiem, są dla nich bardziej tolerancyjni. Stosują dla nich taryfę ulgową. Są mniej poganiami w pracy niż większość ich kolegów. Dla innych gotują piekło. Brudne roboty, wykonywane ponad siły muszą spełniać ci, którzy głęboko kochają swoją Ojczyznę. Są oni nieugięci i hart ducha trzeba łamać przy pomocy przemocy fizycznej i bilogicznym znęcaniu się.

UDANA UCZECZKA JEŃCÓW RADZIECKICH

Rok 1943. Przybywam w dalszym ciągu w obozie jenieckim w Wolsztynie. Czas płynie bardzo leniwie. Pracy wcale nie ubywa. Nie chce się po prostu już żyć. Jedyną pociechą podtrzymującą na duchu są meldunki o toczących się bojach na wszystkich frontach i walkach dla nas zwycięskich. Wierzymy w ostateczne nasze zwycięstwo.

Rannych przybywa coraz więcej. Dla wschodniego sektora przywożą oficerów, lotników radzieckich. Są ogromnie poparzeni, czarni od dymu opalonych samolotów. Na całym ciele tworzą się rany. Całymi dniami pracujemy przy nich. Staramy się, by jak najprędzej skrócić im ból i mękę, by doszli do zdrowia. Wbrew przepisom, w tajemnicy zmieniamy opatrunki dwukrotnie, lub trzykrotnie w ciągu doby. To ukaja jeńców, szybko dochodzą do pełnej sprawności fizycznej i jednocześnie rodzi się wzajemna przyjaźń.

Pewnego dnia jestem sam na sali opatrunkowej. Wchodzi pułkownik

radziecki /nazwiska nie pamiętam/. Siada. Zaczynam wykonywać swoje czynności. Oficer bacznie mi się przygląda. Jest inny jak do tej pory. Zmieniony na twarzy, z oczu i ust można wyczytać, że coś chce mi powiedzieć. Celowo zwalniam tempo pracy. Uśmiecham się do niego. Wreszcie pułkownik decyduje się na rozmowę. Szeptem mówi do mnie: "Pomóż nam! Polacy pomóżcie! Planujemy uciezkę z obozu. Będziemy wam za to bardzo wdzięczni. Zresztą o to samo walczymy!". Słów jego słuchałem w milczeniu. W oczach kręciły się łzy. "Przynieście nam skórki od chleba i zlewki z obiadu. Chcemy mieć pewien zapas".

Trzeba było zorganizować im pomoc. Może uciezka im się powiedzie. Będą ocaleni. Nikt nic nie mógł przewidzieć, co do dalszych losów lotników wyleczonych w szpitalu. Byli wywożeni do innych miejscowości. Gdzie i w jakich warunkach przebywali, nikt z nas nie wiedział. Przeczuwali to chyba jedynie sami bohaterscy lotnicy. Decydują się na wszystko. Życ, albo nie żyć!

Zbliża się koniec czerwca lub początek lipca, dokładnej daty nie pamiętam. Przez cały tydzień pada deszcz. Jest ciepło. Obok drutów kolczastych zazieleniła się trawa. Rosła w oczach, sięgała po kolana. Za drutami szumiał łoskot żyta. Przychodzę rano do pracy. Rozkładam narzędzia, przygotowuję opatrunki. Jestem sam na sali. Moment ten wykorzystuje radziecki pułkownik. Podchodzi do mnie, całuje i serdecznie dziękuje za opiekę i dostarczoną mu żywność. Domyślam się, nadszedł czas rozstania. Zbliża się godzina uciezki. Mimo woli, intuicyjnie wyczuwam to. Potwierdza to oficer: "Dzisiaj uciekamy. - Słuchaj, mam do ciebie prośbę: po skończonej pracy zostaw na stole w sali opatrunkowej nożyce do cięcia drutu. "Patrzę na niego ze zdziwieniem. Za to czeka mnie i ich grudka ołowiu. Chwilę się zastanawiam, podaję inny pomysł. Nożyce będą nie na stole, są widoczne, ale będą leżały w szafie, a szafa nie będzie zamknięta. Pułkownik skinął głową, uśmiechnął się, zaakceptował moją propozycję. Na zakończenie rozmowy poklepał mnie po ramieniu, podał rękę i odszedł. Przez cały dzień różne myśli krążyły mi po głowie. Nie kleiła się robota. Nie wolno jednak było zdradzić swego niepokoju. Skończyłem pracę, uczyniłem tak, jak się umówiliśmy. Zbliża się noc.

Nie mogę zasnąć. Staram się zamknąć oczy, niestety, powieki mimowolnie otwierają się. Leżę spokojnie, głęboko oddycham. Na tym oddziale dyżur nocny pełni sanitariusz radziecki Forleta.

Tymczasem lotnicy radziecy przygotowują ostateczny plan ucieczki. Pułkownik idzie na salę opatrunkową, zabiera z szafy nożyce. Po cichu wchodzi do sali, w której czekają na niego dwaj porucznicy i kapitan. Wyciąga z kieszeni cztery zapałki. W jednej z nich brakuje łebka. To ona ma wskazać, który z czterech śmiałków ma przeciąć druty, a potem przynieść nożyce na swoje dawne miejsce. Następuje konsternacja. Jeden z poruczników nie zgadza się na taką propozycję. Wysuwa się do przodu i porsii pozostałych uczestników o pozwolenie wykonania zadania: "Wy macie żony i dzieci, ja jestem sam. Pozwólcie, że ja to uczynię!". Na oddzielnych kartkach pisze adres swej matki. Podaje pozostałym towarzyszom. "Jeżeli zginę - powiadomcie o tym matkę!". Wziął w garść nożyce, poszedł. Noc była ciemna, padał deszcz. Nienieckie posterunki opustoszały. Połczołgał się do drutów, przeciął je. Tą samą drogą powrócił. Brudny, przemoczony, ale jakże szczęśliwy. Pierwsza przeszkoda pokonana. Nożyce odniesione na swoje miejsce. Czwórka bohater-skich uciekniarów przygotowuje się do wyjścia. Żegnają się z lekarzem i sanitariuszem radzieckim Forletą. Zabierają ze sobą zapasy żywności i sztylety, uprzednio wykonane przez radzieckiego kowala. Czołgają się w stronę wyciętej dziury. Zniknęli, ukryli się w zbożu. Na razie jest dobrze. Ale czy ich nie złapią? Czy w porę zorganizują pościg? Zaczyna świtać. Na jednym z posterunków zauważono ślady po strąconych kroplach rosy, w drutach otaczających obóz - dziurę. Wszczęto alarm. Na teren szpitala przybywają oficerowie i żołnierze niemieccy. Sprawdzają wszystkie sale, odliczają jeńców. Brak jest czterech ludzi. Błyskawicznie zawiadamiają wszystkie posterunki policji i wojska o zuchwałej ucieczce oficerów radzieckich. Na drogach pojawiają się patrole policji z psami. Wszystkie skrzyżowania są obstawione. Nad łanami zbóż krążą samoloty. Jak na dłoni widać wychylających się lotników z lornetkami. Penetrują teren z lotu ptaka. Na nic jednak zdały się wysiłki. Ucieczka chyba się powiodła.

W ciągu dwóch tygodni przeczesywano teren. Uciekinierów nie znaleziono. Do kostnicy szpitala cywilnego przywieziono natomiast dwóch nieżywych policjantów. Byli bez broni, bez mundurów. Zginęli podczas pościgu. Znaleziono ich 13 km od obozu. Takiego obrotu sprawy Niemcy nie spodziewali się. Zaczęli wzmacniać posterunki, zaostrzyli dyscyplinę w stosunku do jeńców radzieckich. Za małe przewinienie byli karani aresztem. Pewnego dnia grupa jeńców radzieckich przewoziła ziemniaki do sektora zachodniego. Ciągnąc wóz obok zagonów brukwi i warzyw, jeden z jeńców wyrwał brukiew. Zobaczył to Niemiec. Bez namysłu zdjął karabin i oddał strzał w jego kierunku. Ranił go mocno. Staw kolanowy został rozstrzaskany. Rannego przewieziono na salę operacyjną. Po paru minutach zjawiają się lekarze. Na nic zdały się ich wysiłki. Nogę trzeba było amputować powyżej kolana. Jeszcze jeden zostaje kaleką na całe życie.

Przypadek ucieczki i bestialstwa ze strony Niemców budzi w jeńcach jeszcze większą nienawiść. Buntują się całymi grupami, napadają na magazyny żywnościowe z chlebem i margaryną. Życie staje się niespokojne i w nocy. Niejednokrotnie budziły nas karabiny maszynowe. To Niemcy strzelali do umierających z głodu jeńców radzieckich. Znowu było jakieś włamanie. Padali ranni i zabici. Na nic zdawały się jednak represje ze strony okupanta. To nic, że przez trzy dni cały sektor wschodni nie otrzymał chleba. Nienawiść była większa od bólu, od cierpień. Udana ucieczka wskazała drogę, żeⁱ tu można walczyć, tu nienawidzić, tu myśleć o Ojczyźnie!

SZANTAŻ HITLEROWCA I PATRIOTYCZNA POSTAWA OFICERA LEKARZA POLSKIEGO

Zima 1943 roku była ciężka. Panował straszliwy ziąb. Opatuleni żołnierze niemieccy muszą pełnić warty. Na patkach mundurów wiądnąć szron. Tupią nogami, zacierają ręce. Raz po raz przychodzą do sali opatrunkowej, by się nieco ogrzać. Przypatrują się pracy, rozmawiają. Pewnego razu salę opatrunkową odwiedza kapral i sierżant niemiecki. Ogrzali się, zaczynają dyskutować o pracy. W tok dyskusji włącza się również dr Leśniewicz. Sierżant, zagorzały hitlerowiec, szeroko wywodzi: "Praca wasza jest niepotrzebna. Niepotrzebni

jeścieście również i my. Nasze miejsce winno być na froncie. Niemcy popełniają wielki błąd. Po cóż tworzą szpitale, obozy? Wszystkich jeńców wziętych do niewoli powinno się na miejscu wyciąć i stworzyć wspólną mogiłę!".

Na policzkach doktora Leśniewicza pojawiają się białe plamy. Nie wybucha jednak gniewem, opanowuje się. Spokojnym głosem odpowiada przecząco: "Pan, panie sierżancie jest w mocnym błędzie. Niemcy wojnę przegrają i to w krótkim czasie? Cóż by zostało z was wszystkich? Los by się pomścił! Odpłacilibyśmy wam tak samo! Pięknym za nadobne - stałoby się faktem. Niech pan to zapamięta, panie sierżancie!".

Takiej riposty na pewno nie oczekiwał. Skinął na kaprala i natychmiast wyszedł. W dniu tym więcej do nas nie zajżał. Widzimy go krążącego wokół baraków. Patrzy przez okno.

Z jego oczu bije nienawiść do nas. Po cóż my ratujemy zdrowie jeńców? Powinniśmy ich tu uśmiercać, a nie nieść pomoc! Nie może tej rozmowy przeboleć. Melduje o tym oficerowi politycznemu Zimmermanowi. Na trzeci dzień na salę opatrunkową wchodzi sam oficer. Zwraca się do dr Leśniewicza, czy pamięta rozmowę z sierżantem. Bez wahania otrzymuje twierdzącą odpowiedź. Dr Leśniewicz opowiada całą historię. Zimmerman słucha, marszczy brwi. Może sam tego nie rozumie, a może nie chce mu się pomieścić w głowie, że kiedyś stanie się jeńcem. Zadumał się nieco. Pyta dr Leśniewicza, czy podtrzymuje wypowiedziane sądy. Odpowiedź otrzymuje błyskawicznie: "Oficer polski nie puszcza słów na wiatr, nie kłamie! Słowa moje się spełnią!". Nie mógł już dłużej wytrzymać tego Zimmerman. Z furią powiedział krótko: "Za takie zuchwalstwo panie Leśniewicz będzie pan ukarany?". Słowa tego w późniejszym czasie dotrzymał.

Zimmerman, jako oficer polityczny interesował się każdym Polakiem w obozie. Częstym gościem był u aptekarza Nadolskiego, namawiając go, by podpisał "Volkslistę". Po co będzie się tutaj męczył? Wróci do domu, do swej apteki, zacznie spokojnie pracować i żyć. Niestety. Wszystkie rozmowy kończyły się słowem - nie! Aptekarz Nadolski dalej z nami współpracuje. Zakłada mundur polski, który jest jego chlubą.

Aż nagle zachorował. Zimmerman znów zwraca się do Nadolskiego, aby podpisał "Volkslistę". Jeszcze dzisiaj otrzyma samochód i będzie odwieziony do domu. Na te słowa Nadolski wzdrygnął się. Odwrócił się powoli na łóżku, wyciągnął rękę w kierunku wiszącego polskiego munduru i rzekł: "W tym mundurze najlepiej się czuję". Zimmerman podniesionym głosem oznajmił aptekarzowi, że swoim zachowaniem i postawą zlekceważył jego osobę, zlekceważył oficera niemieckiego. Niech się nad tym głęboko zastanowi, lecz kary na pewno nie uniknie. Uczyni to w późniejszym czasie. Tę obietnicę również spełnił.

NIEUDANA UCIECZKA JEŃCÓW RADZIECKICH

Udana ucieczka czterech lotników skłaniała jeńców do dalszej kontynuacji zapoczątkowanej pracy. Na terenie obozu utworzyła się 15-osobowa grupa. Byli to również oficerowie - lotnicy. Sala opatrunkowa, w której pracowałem, nie była zamknięta. Podłoga opierała się na wbitych kołkach. Można było swobodnie unosić ją do góry. Miejsce to upatrzono jako godne uwagi i pracy. Po skończonych opatrunkach i opuszczeniu przez nas sali, wchodzili i normalnie pracowali. Część z nich pełniła warty. W sali podnosili podłogę, kopali tunel w stronę drutów, do cywilnego ogródka. Jako strop, do wzmocnienia tunelu, służyły deski wyrwane z prycz. Praca trwała 5 dni. Wyjście z tunelu znajdowało się w ogródku w odległości 4 metrów od ścieżki, na której znajdował się niemiecki posterunek. Ucieczkę należało tak wykonać, by opuszczać tunel w tym czasie, gdy następuje zmiana warty lub żołnierz niemiecki oddali się od wyjścia tunelu. Takiego momentu z niecierpliwością oczekiwano. Wreszcie nadarzyła się okazja. Wieczorem nadciągnęły chmury, zaczęło padać. Bez namysłu cała grupa ok. godz. 24⁰⁰ pożegnali się z tymi, którzy nie mogli uczestniczyć w ucieczce i skryła się w tunelu. Czekają na sposobną chwilę, by opuścić teren cierpiących, zgłodniałych ludzi. Tymczasem na teren szpitala przybywa dyżurny podoficer z dwoma żołnierzami.

Obchodzi sale, sprawdza, czy wszystko jest w porządku. Wchodzi do baraku, nie dowierza. Widzi puste prycze, brak jest na nich ludzi. Niczym wyjący z bólu lew wszczyna alarm. Wszystkie posterunki wojskowe i policyjne postawione zostały na nogi. Wzmocniono warty. O godzinie 2-giej w nocy z Poznania przybywa niemiecki generał wraz z całą świtą oficerów i żołnierze z psami. Obchodzą cały obóz. Błyskają reflektory. Jest tyle blasku, że można znaleźć igłę. Po wewnętrznej stronie drutów nie znajdują żadnych śladów. Dwumetrowej szerokości ścieżka po codziennym wygrabieniu pozostała nie tknięta, druty pozostają w należyтым porządku. Stanęli osłupieni. Co mogło się stać z chorymi? Gdzie się podzieli? Wzywają radzieckich dyżurnych sanitariuszy. Było ich czterech. Wchodzą na plac, meldują się. Pytają się ich, gdzie są chorzy. Pada odpowiedź: "Nie znaju". Rozwścieczeni Niemcy ustawiają ich pod barakiem, grożą rozstrzelaniem. Perswazja nie skutkuje. Na rozkaz występuje czterech ochotników niemieckich. Repetują broń. Broń jest gotowa do strzału. Oficer niemiecki liczy: "ein, zwei, drei..." Strzały jednak nie padły. Na razie paść nie mogły, przecież hitlerowcy pragną, by sanitariusze zdradzili rąbek tajemnicy. Znowu straszą. Oficer ostrzega: jeśli doliczy do trzech, a nie wydadzą swych towarzyszy, to naprawdę padną strzały. Znow liczy: "ein, zwei, drei..." Milczą, choć wiedzą, że ich towarzysze znajdują się w tunelu, a opuszczona podłoga nie zdradza tajemnicy. Wiedzą, że zginą, lecz nie załamują się. Strzały jednak a tym razem nie padły. Niemcy zrezygnowali z tego sposobu zasięgnięcia języka. Cała grupa udaje się do baraków, gdzie pozostały puste łóżka. Psy obwąchują ślady uciekinierów. Przeskakują z łóżka na łóżko. Na podłodze tracą węch. To roztwór lizolu działa zabójczo na ich powonienie. Uprzedniego dnia zleciłem dokładne wymycie podłogi. Rozbiegają się na wszystkie strony. Prowadzą do ubikacji i z powrotem do sali. Pierwsza rewizja nie daje żadnego rezultatu. Opuszczają barak i udają się na teren szpitala zachodniego. Może tam ich znajdą. Robią przegląd wałów z drutów kolczastych. Tymczasem jeden z po-

parzonych lotników będących na sali nie wytrzymuje nerwowo. Pragnie powiadomić o tym swoich kolegów w tunelu. Nie zastanowił się, poszedł do sali, uniósł podłogę, rozmawia. Na tę scenę patrzy przez okno przechodzący żołnierz niemiecki. Błyskawicznie zawiadamia o swym odkryciu generała. W kilka minut są już wszyscy w sali opatrunkowej. Od godziny 2-giej do godziny 10-tej cała świata wraz z generałem straciła czas na poszukiwania śladów uciekinierów. Ucieczka się nie udała. Są zgubieni. Na rozkaz niemieckiego oficera sanitariusz radziecki unosi podłogę. Tłumacz stojący obok generała rozkazuje jeńcom opuścić miejsce schronienia. W razie niewykonania polecenia i tak zginą od gazu i granatów. Nie było wyjścia. Po kilku minutach cała 15-tka wyszła na powierzchnię. W tym dniu przeżywałem okropnie, bo część zapasów żywnościowych na drogę pochodziła ode mnie i od moich kolegów sanitariuszy. Byli brudni, niepodobni do ludzi. Ustawiono ich na placu, w pobliżu baraku. Nadjechały samochody. Bici kolbami karabinów i kopani nogami zostali wepchnięci do samochodów. Rzekomo wywieziono ich do Boznania. Czy pozostali przy życiu - trudno orzec. Niemcy z takimi ludźmi wcale się nie liczyli. Za wszelką cenę pragnęli ich zgładzić.

Po wywiezieniu jeńców jeszcze bardziej zaostrzono rygor, kontrolowano naszą pracę. Kontrole i rewizje były dość częste i nie zapowiedziane. Dokładnie w pamięci utkwiała mi jedna z nich.

Było to jesienią 1944 r. Na rozkaz oficera niemieckiego musieliśmy opuścić posieszczenia. Staliśmy na placu przy barakach. W drzwiach do naszych sal stał żołnierz niemiecki, nie pozwalając wejść do środka. W baraku następowała rewizja. Gestapo wywracało łóżka, podnosiło podłogę i sufity, a nawet kopano szpadlami ziemię przy progach. W dniu tym szukali aparatów radiowych. Nasz aparat spokojnie wiąsiał, w woreczku pod deską kloaczną w ubikacji. Chwile grozy natomiast przeżywali Anglicy. Ich aparat ukryty był w pudełku z sucharami i stał na stole. Jeden z Anglików bez chwili

namysłu decyduje się go wydobyć. Podchodzi do stojącego w drzwiach żołnierza niemieckiego i prosi o pozwolenie zabrania sucharków, ponieważ jeszcze nie jadł. Żołnierz niemiecki nic nie przeczuwając, sam osobiście podaje pudełko, życząc smacznego i dobrego apetytu. Chwila grozy minęła. Sytuacja została rozładowana. Po przebytej rewizji zastanawialiśmy się, co było jej przyczyną. Okazało się niebawem, że wśród jeńców są donosiciele. Otóż dwóch Holendrów zgłosiło Zimmermanowi, że na terenie szpitala znajdują się aparaty radiowe. Jeńcy mają świeże wiadomości, wierzą w zwycięstwo i przegraną Niemiec. Taki sposób postępowania podoba się hitlerowcom. W nagrodę zostają po trzech dniach gdzieś wywiezieni. O zajściu tym dowiadują się inni oficerowie holenderscy. Wysyłają do nas delegację. Oni są nic nie winni, przecież w każdym narodzie znajdują się zdrajcy i świnie! Tak właśnie postąpili ci dwaj młodzi Holendrzy. Większość jest jednak razem z nami. Wspólnie walczymy o to samo, o zwycięstwo! W sercach naszych pozostał jednak ślad żalu. Bo przecież po tym incydencie przypomniał sobie Abwehroffzier Zimmerman o ukaraniu aptekarza Nadolskiego i doktora Leśniewicza. Była ku temu sposobna okazja. Odsyła ich do Oflagu II D w Grose Born. Pakują swoje książki i walizki. Do pomocy im delegują 2 sanitariuszy. Na prośbę doktora Leśniewicza przydzielono mnie do jego dyspozycji. Pomagam i asystuję w podróży do samego oflagu. Po skończonej misji serdecznie się zegnamy i wraz z kolegą powracamy do Wolsztyna.

W Y Z W O L E N I E

Rozpoczyna się rok 1945. Oficerowie i żołnierze niemieccy stoją codziennie na swych posterunkach. Są jednak inni. O dziwo! Rano wyprzedzają nas powitaniem, opuszczają głowy, są bardzo zamyśleni. Lekarz niemiecki bardzo często przebywa u naszych lekarzy. Częstość jego kawy "meską". Nie chce siadać przy stole. Ogląda się wokół siebie. Czegoś się obawia.

Prosi, aby pozostawić na posterunku polskiego sanitariusza. Niech czuwa, czy nie idzie żołnierz niemiecki i niech w razie czego powiadomi. Po takim zaspokojeniu siada, nerwowo opowiada o ciężkiej sytuacji na frontach. Wypija szybko kawę i odchodzi. On wie, że zbliża się front. Koniec panowania. Niemcy muszą się wycofać z okupowanych terytoriów.

W dniu 25.01.1945 r. wszyscy obserwują drogę prowadzącą z Poznania na zachód. Drży ziemia od wycofujących się zmotoryzowanych oddziałów niemieckich. Gdzie niegdzie pojawia się pojedynczy żołnierz. O godzinie 9-tej rano przyjeżdża lekarz niemiecki. Zbiera cały personel lekarzy i sanitariuszy. Nie rozkazuje, lecz prosi, by za godzinę stanąć na placu zbiórkowym. Tam odda swoje pełnomocnictwo lekarzowi frontowemu. Wsiadł do samochodu i odjechał. W milczeniu rozeszliśmy się do swoich pomieszczeń. Czekamy. Nikt jednak nie wytrzymuje nerwowo tego okresu czasu. Z powrotem zbieramy się na placu. Co chwila spoglądamy na zegarki. Wreszcie zbliża się godzina 10-ta. Na plac zbiórkowy wjeżdżają dwa auta. Z jednego wysiada znany nam lekarz niemiecki, z drugiego lekarz frontowy, by objąć szpital i cały personel pod swoje dowództwo. Staje przed nami. Oczy kieruje w stronę kapitana doktora Dziembowskiego. Podchodzi do niego: Herr Doktor Dziembowski! "Nawzajem Dziembowski wypowiada jego nazwisko /nazwiska nie pamiętam/. Podają sobie ręce, następuje serdeczny uścisk. Widząc tę sytuację zdający lekarz oddaje nam ostatni honor, siada za kierownicę i szybko się oddala. Czekamy, co będzie dalej. Lekarz obejrzał się dookoła, z uśmiechem zwraca się do doktora Dziembowskiego: "No cóż, już niedługo spotkamy się w Paryżu na zjeździe lekarskim, tam, jak przed paru laty. Tam wypijemy kawę". Spogląda na zegarek: "Czas z wami się pożegnać. Miałem inaczej postąpić, ale zostańcie w spokoju". Oddaje honor, wsiada za kierownicę i znika nam z oczu. Zostaliśmy sami na placu. W tym czasie żołnierze niemieccy zajeżdżają wozem drabiniastym pod magazyn z paczkami UNRRA. Zakładają na spód wozu plandeki i ładują nasze paczki. Na miejsce paczek zostawiono nam worek

ziemniaków. Do godziny 16-tej tegoż dnia obserwowaliśmy powracające oddziały Wehrmachtu oraz kolumny cywilnych uciekinierów. O godzinie 16³⁰ do szpitala przybyli nowi goście. Byli to jeńcy włoscy, którzy przebywali w obozie w Poznaniu. Po ich przybyciu oświadczono kucharzom, by przyszykowali posiłek i kawę na godzinę 3-cią dnia następnego. Muszą oni dalej odejść. Wszystkim zrzedły miny. Przecież jeńcy są już u kresu sił. Nie mogą dalej iść. Niemcy w bestialski sposób likwidują tych, którzy nie nadążają za kolumną. Nie tak daleko, bo około 6 km od szpitala dwóch Włochów obtarło nogi. Zaczęli odstawać od kolumny. Widząc to żołnierz niemiecki zdjął karabin z palców i w ich kierunku padły strzały. Obaj zostali zabici. Pozostali musieli cofnąć się i wrzucić zwłoki do pobliskiego rowu. Tak kończyła swe życie większość.

Po rozlokowaniu ich na terenie szpitala w tajemnicy opowiedzieli nam, że w pobliżu widzieli czołgi radzieckie. Nikt z nas jednak nie przypuszczał, że jesteśmy w okrążeniu przez Armię Radziecką, że wolność tuż, tuż.

O godzinie 17-tej zakończył się całkowicie przemarsz wojsk. Nastąpiła cisza. Przerywał ją tylko huk wystrzałów artyleryjskich oraz światła reflektorów. To żołnierze niemieccy oświetlali siebie i szpital wodząc błędnym wzrokiem na wszystkie strony świata i wypatrując nadchodzących oddziałów Armii Czerwonej. Tegonoc nikt nie spał, nie mógł zasnąć. Nadeszła godzina 23-cia. Słyszemy warkot zbliżających się czołgów. Zatrzymują się przy parku. Z daleka słyszemy rozkazy dowódcy radzieckiego. W niespełna 10 minut potem zbliża się do nas radziecki patrol. Z budek wartowniczych rozbłysły reflektory i zaterkotały karabiny maszynowe. Patrol radziecki zajął stanowiska bojowe i odpowiedział tym samym językiem. Ich schronieniem stały się kopce kartofli. Zostają podziurawione nasze baraki. Dowódca widząc taki obrót sprawy rozkazuje oświetlić baraki i skierować na nie ogień. Słyszają to cywilni mieszkańcy domu obok parku. Rodzina polska opisuje sytuację. Tam w barakach przebywają jeńcy radzieccy, polscy i innych narodowości. Zabijecie ich! Wolność jest dla nich tak bliska! Dowódca

zmienia rozkaz. Wysyła dwa czołgi. Jeden kieruje w stronę szpitala, drugi okrąża szpital. W szybkim czasie zlikwidowano 4 budki z gniazdami karabinów maszynowych oraz żołnierzy-strażników przy drutach. Jeden z czołgów wypycha bramę. Za nim dopiero podąża cała kolumna. Niemcy uciekają w popłochu. Padają zabici. Zabieramy ich broń. Dnia 26.01.1945 r. o godzinie 8-ej podchodzimy wraz z żołnierzami radzieckimi pod główną wartownię. Część żołnierzy niemieckich poddaje się. 5-ciu jednak popełniło samobójstwo. Około 30 butnych żołnierzy niemieckich staje na placu apelowym. Role się odwróciły. Stoją z opuszczonymi głowami. Italiani w mgnieniu oka poznają wczorajszego kata. Patrzą na niego. Mimo 25-cio stopniowego mrozu na jego twarzy pojawiają się krople potu. Blednie. Włosi proszą o karabiny. Otrzymują je. Niemiec ucieka w popłochu. Kryje się w kuchni za kotłami. Tam jednak dosięgła go ręka sprawiedliwości. Dwie kule przeszły pierś. Padł na posadzkę. Wyciągnięto go i rzucono pod nogi pozostałych oprawców, tłumacząc, by nie robili tego, co im nie miłe. Słychać było tylko szepty: "Ja, ja, ja". Żaden jednak nie mówił, ile zabił.

Byliśmy wreszcie wyzwoleni. Radości nie było końca. Tym raźniej nam się pracowało, a przecież w dalszym ciągu przywożono nam rannych żołnierzy radzieckich i Ludowego Wojska Polskiego.

SPOTKANIE Z LUDNOŚCIĄ CYWILNĄ

Trzeciego dnia po oswobodzeniu, tj. dnia 28.01.1945 r. do naszego ppłka dr Kumelowskiego przybywa delegacja z miasta. Pragną się z nami spotkać. Otrzymują na to zgodę. O godzinie 11-tej na placu zjawia się moc ludzi. To nie spotkanie, a manifestacja! Każdy z nas, a było nas 32 Polaków otrzymuje pęki żywego, białego bzu. Zaczęliśmy śpiewać: "Jeszcze Polska nie zginęła". Niestety, nie możemy dokończyć śpiewu. Zaciska w gardle, leją się łzy radości. Choć się nie znamy, ściskamy się i wietamy jak z najbliższymi. Mamy moc zaproszeń. Nie możemy jednak ze wszystkich skorzystać. W miarę naszych sił odwiedzamy społeczeństwo, lecz dalej musimy pracować. Do szpitala

przybył również radziecki lekarz pułkownik Kowalew. Objął on dowództwo nad szpitalem. Codziennie szpital odwiedzał wywiad radziecki, N WD.

Po upływie tygodnia od wyzwolenia zostają wezwany do kancelarii radzieckiej. W toku przeprowadzonego śledztwa oświadczone, że zasługują na odznaczenie. Dowództwo radzieckie podjękowało mi za pomoc udzielaną chorym, jak również za pomoc podczas ucieczki jeńców. Wyróżniony został również doktor Gontarski i radziecki lekarz Donin.

W dniu 23.03.1945 r. otrzymujemy rozkaz wyjazdu i dołączenia do oddziałów I Armii stacjonujących w Jastrowie. W drodze jednak zostaliśmy cofnięci. Po przeszło 5-ciu latach niewoli potrzebny jest wynoczynek. Przez trzy tygodnie przebywam u rodziców, a po tym czasie zgłaszałem się do pracy w Służbie Zdrowia w szpitalu we Włocławku. Po przejrzeniu dokumentacji zostają zatrudniony. Spotykam dużo rannych żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego i Armii Czerwonej. Czuję się znów potrzebny. Niosę dalej pomoc tym, których los tak srodze unieszczęśliwił.

Wskazówką do napisania tej pracy był stary sprowiały mundur żołnierski. Przeżyłem w nim obóz i rozpocząłem pracę. Byłem z niego dumny, bo w czasie okupacji hitlerowskiej na terenie Pōs Polski tylko 32 osoby przenosiło mundury polskie.

Włocławek, październik 1945

Czesław Urbanski
ul. Toruńska 15/17
87-800 Włocławek